

Władysław Reymont

Wampir

universitas

Wampir

Władysław Reymont

Wampir

Kraków

© Copyright by Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków

ISBN 97883-242-1068-8
TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

www.universitas.com.pl

I

Wszystkie światła pogasły; tylko między oknami w zielonawej, kryształowej kuli mżył się rozpierzchły, ledwie dojrzany płomyk, jak gdyby świętojański robaczek, trzepoczący się w ciemnościach.

Cisza zapadła nagle, cisza pełna dręczącego oczekiwania.

Siedzieli z przyczajoną uwagą, skupieni aż do martwoty, a pełni szarpiącego niepokoju i ledwie powstrzymanych dygotów trwogi.

Czas płynął wolno w przerażającym milczeniu, w dławiącej okropnej ciszy trwożnych przeczuwań, że jeno niekiedy jakieś stłumione westchnienie wionęło w ciemnościach, podłoga zatrzeszczała, aż drgnęli gwałtownie, to nierozpoznany szelest, jakby lot ptaka, okrążał ich głowy, łopotał po pokoju, wiał chłodem na rozgorączkowane twarze i marł w mrokach rozłkanym szelestem...

...I znowu przepływały chwile długie jak wieki, chwile milczenia dręczącego i oczekiwań.

Naraz stół drgnął, zakołysał się gwałtownie, uniósł w powietrze i opadł bez szelestu na podłogę...

Lodowaty dreszcz wstrząsnął sercami... ktoś krzyknął... ktoś załkał nerwowo... ktoś zerwał się jakby do ucieczki... palące tchnienie trwogi przewiało w ciemnościach i zakłębiło się w duszach bolesnym, męczącym drżeniem, ale wnet przygasło wszystko, zdławione przez straszne pragnienie zjaw...

O cud błagały trwogi wszystkie i dusze rozpięte w bolesnej tęsknocie.

Cisza stała się jeszcze głębsza, powstrzymywano oddechy, tłumiono strachliwe bicie serc, wytężano całą siłę woli, aby nie zadrgnąć, nie szepnąć, nie poruszyć się, nie patrzeć nawet i martwieć

w takiej cichości, że ruch jakiegoś zegarka przewiercał serca bezustannym, bolesnym dygotem i bił w skroniach ciężkimi młotami.

Szum głuchy, bełkotliwy a rozwiany i daleki, jakby morza odpływającego, wrzał monotonnie za oknami, deszcz zacinał bezustannie, brzęczał cicho i po zapoconych, szarzejących szybach spływał nieskończonymi sznurami paciorków i szemrał sennie, szemrał lękliwie; to wiatr obijał się o szyby i ze zduszonym, żałosnym krzykiem obsuwał się martwo po ścianach, a potem jakieś drzewa, podobne do strzępiastych chmur, drzewa ślepe i nieme nachylały się cicho do okien, chwiały się cieniem ledwie uchwytnym jak sen nieprzypomniany i jak sen przepadły w mrokach.

A pokój wciąż był głuchy, niemy i przepastny jak otchłań, tylko ten zielonawy płomyk niby gwiazda odbita w czarnej topieli drgał ustawicznie, rozpryskując się świetlistą larwą, jakby spod wody skłębionej, albo jakieś spojrzenie zamigotało rozwianym płomieniem i wnet marło w ciemnościach mętnych, pełnych nieuchwytnych, zaledwie wyczutych falowań, niedojrzanych ruchów, drgań niepokojących, szeptów zmartwiałych, konających połysków i przyczajonej, dygocącej trwogi...

Stół znowu wyrwał się spod rąk, roztrącił siedzących, uniósł się gwałtownie i z hukiem padł na swoje miejsce... łańcuch rąk się przerwał, zerwało się kilka okrzyków, ktoś skoczył w bok do światła...

– Cicho... na miejsca... cicho! – zabrzmiał rozkazujący głos.

Ręce splotły się znowu w łańcuch nieprzerwany, przymilkli z nagła, ale już nikt nie potrafił pokonać nerwowego drżenia, dłonie się trzęsły, serca dygotały i dusze przelatywał wicher świętej trwogi, pochylano się nad stołem, jak nad niepojętą, tajemniczą istotą, której ruch każdy był cudem widomym, cudem żywym.

Joe, przewodniczący, zaczął szeptać modlitwę, a za nim roztrzęsionymi wargami powtarzano coraz prędzej, coraz mocniej, iż ciemność rozbrzmiewała szmerem lotnym, namiętnym, wyrwanym spod serc, z głębi dusz olśnionych... Słowa padały rozwiane, płonące wiarą, wiotkie jak tchnienie, a potężne żądzą objawień, pragnieniem cudów...

Naraz z drugiego pokoju czy z głębi jakiejś rozbrzmiał przytłumiony głos fisharmonii.

Jęk zamarł w gardłach ściśniętych, dusze padły w senny lęk jakby przed skonem, nikt bowiem nie czekał tej muzyki, nie wie-

dział, skąd płyną te tony, nie rozumiał, zali to dźwięki żywe czy oman słodki?...

Opadli piersiami na stół, bo nikt już sił nie miał, trzymali się kurczowo za ręce, bojąc się puścić, bojąc się przepaść w samotności... cisnęli się do siebie ramionami i stłoczeni, drżący, przejęci świętym dreszczem zachwytu zanurzali się w te dziwne dźwięki przewiewające niby wiatr pieściwy po strunach harfy niewidzialnej.

I tak zapomnieli o wszystkim, że nikt już nie wiedział, rzeczywistość to – li sen czarowny?

A muzyka rozpylała się w ciemnościach kadzielnym tchnieniem modlitwy żarliwej, rosą srebrzystych dźwięków, wiewem melodii tak słodkiej, że dusze chwiały się w rozmarzeniu upajającym jak kwiaty w noc miesięczną.

I śpiewem się podniosła uroczystym, potężnym, rozległym, jakby świat cały śpiewał.

I krzykiem duszy zagubionej we wszechświecie łkała żałośnie...

I wyżej wznosiła się jeszcze, aż w hymny łzawych zachwyceń i w dal takich roztęsknień, że była już jakby emanacją nowych bytów, rodzących się z tajemnicy i marzenia.

Jeszcze nie ochłonęli z wrażenia, jeszcze dusze niby krze płomieniste chwiały się sennie w rytm konających dźwięków, gdy drzwi od przedpokoju otwarły się na rozcież, struga światła runęła słupem na podłogę i w progu ukazała się wysoka, jasna postać...

Porwali się z miejsc, ale nim ktokolwiek zdołał krzyknąć, postać owa poruszyła się i szła wolno świetlistym pasem; szła sztywno i ciężko, z wyciągniętymi rękami, przystając co mgnienie i kołysząc się całą postacią...

Drzwi się zamknęły bez szmeru i noc znowu ogarnęła wszystko.

– Kto jesteś? – zatrzepotało zdławione pytanie.

– Daisy... – wionął szept zgoła niematerialny.

– Długo będziesz z nami?

– Nie... nie...

– Gdzie twoje ciało?

– Tam... w pokoju... śpię... wołałeś... przyszłam... Guru...

Szept się plątał i tak ścichł, że tylko bezdźwięczne, porwane drgania szemrały w ciemnościach...

Mr Joe nacisnął guzik i elektryczne światło zalało pokój.

– Daisy! – krzyknął jakiś człowiek, rzucając się ku niej, ale

stanął naraz jak gromem rażony, bo zwróciła ślepą twarz ku niemu, usiłując coś mówić, poruszając wargami...

– Nie, nie Daisy... ta sama i obca, inna zarazem...

Pochylił się ze zdumienia i przyczajonym, trwożnym wzrokiem obiegał twarz jej i postać całą... ta sama twarz, a rysy inne, obce... obce...

– Daisy!... Nie... nie... – krzyczało w nim zdumienie i przypomnienia wiły mu się błyskawicami szaleństwa, strachu, lęku straszliwego.

Nic nie rozumiał, nie mógł pojąć tej zmiany dziwnej, zdało mu się, że śni ciężko, że jakieś zwierciadlane odbicie Daisy stanęło przed nim i rozwieje się zaraz, natychmiast, sczeźnie jak widmo...

Zamknął oczy i otworzył je natychmiast, ale Daisy stała na dawnym miejscu, była, widział ją w najdrobniejszych szczegółach, że cofnął się naraz, bo spojrzała na niego posępnym, otchłannym, obcym wzrokiem, a tak strasznym, iż padł na samo dno trwogi...

Wszyscy stali również w lodowatym odrętwieniu.

Mr Joe zaś lękliwie podszedł do niej i dotknął palcami jej powiek, zatrzepotały i opadły mocno, a potem stopniowo dotykał jej skroni, rąk, piersi, ramion, przeciągał kilka pasów nad głową, cofnął się i rozkazująco powiedział:

– Pójdź!

Nie poruszyła się z miejsca.

– Pójdź! – zawołał silniej, cofając się z wolna i nie spuszczając z niej wzroku – drgnęła nagle i jakby z trudem odrywając się od posadzki, zaczęła się posuwać za nim sztywnym, automatycznym ruchem, w głąb sąsiedniego pokoju, jasno oświetlonego...

Nikt się przez ten czas nie poruszył, nie westchnął głośniej, nie zadrgnął; wszystkie oczy szły za nią.

Mr Joe wziął ją za rękę i podprowadził do wielkiej sofy, ustawionej na środku pokoju; upadła na nią bezwładnie.

– Możesz mówić? – pytał, pochylając się nad nią.

– Mogę...

– Czy jesteś sama, Daisy?...

– Nie pytaj...

– Czy nikt z nas nie przeszkadza?

– Nie... nie... cóż może przeszkodzić woli „A" – mówiła.

Głos miała nie swój, zupełnie obcy, a chwilami jakby płynący z fonografu, trupi jakiś; wydobywał się martwym szmerem wprost z gardła, bo nie poruszała ustami ni żadnym muskułem twarzy.

– Więc wszystkim wolno pozostać w pokoju? – pytał znowu Mr Joe.

Nie odpowiedziała, tylko poruszyła się niecierpliwie, podnosząc ciężkie powieki, że wywrócone oczy błysnęły białkami, jakiś uśmiech przewiał po bladej jak kreda twarzy, wyciągnęła rękę w próżnię, jakby witając kogoś niewidzialnego, i zaczęła coś półgłosem szeptać.

Mr Joe słuchał uważnie, ale na próżno usiłował zrozumieć cokolwiek, mówiła w zupełnie nieznanym języku.

– Co mówisz? – spytał po chwili, kładąc dłoń na jej czole.

– Sarwatassida!

– Mahatma?

– Ten, który jest, który wypełnia wszystko, który jest „A", mój duch...

– Czy zechce mówić przez ciebie?

– Nie męcz mnie...

– Czy stanie się co dzisiaj? Bracia są zebrani, czekają w trwodze, czekają w błaganiu o znak jaki, o cud...

– Nikt z wcielonych nie jest godzien cudów! nikt! – zabrzmiał mocny, potężny, męski głos, a tak silny jak przez spiżową tubę płynący.

Joe cofnął się przerażony, wodząc oczami dokoła, ale w pokoju nie było nikogo; Daisy leżała bez ruchu, światła płonęły jasno i cała grupa zebranych stała w drugim pokoju, na wprost niego.

– Niechaj on gra! On! – szepnęła, unosząc się i wskazując ręką na Zenona i zaraz padła w tył, wyprężona, sztywna i tak już pozostała.

Próżno Joe usiłował zmusić ją do rozmowy, leżała martwa jak trup; ręce miała zimne i twarz pokrytą lodowatą rosą.

– Zupełna katalepsja! Nic nie rozumiem – szepnął bojaźliwie.

– Cóż poczniemy? – zapytał ktoś.

– Módlmy się i czekajmy.

– Czy to naprawdę Daisy? – pytał Zenon.

– Daisy... nie wiem, może być... ale nie wiem.

Drzwi od okrągłego pokoju, gdzie leżała, zatrzasnęły się z hałasem.

– Siadać, cicho... rozpoczynamy!...

Zenon siadł przed fisharmonią, stojącą w głębokiej niszy na prawo, wprost okien, i zaczął cicho grać.

Światła wtedy raptem pogasły, przez chwilę jeszcze żarzyły się

w żyrandolu rozpalone węgle, potem, gdy sczerniały, tylko kryształowa kula błyskała zielonawym, rozdrganym światełkiem.

Usiedli pod ścianą, jeden przy drugim, nie tworząc już łańcucha.

Zenon grał jakiś hymn wzniosły, stłumione dźwięki brzmiały słodkim chorałem, dalekim jakby z głębi niebotycznych naw płynącym i rozsypywały się w nieprzeniknionych ciemnościach.

Joe zaś ukląkł i zaczął się modlić półgłosem, przez chwilę słychać było odsuwanie krzeseł i trzeszczenie podłogi, snadź przyklękli wszyscy, bo szept modlitewnych głosów zaszemrał rozpaloną, wrzącą ulewą i wtórował przejmującym falom muzyki...

Zenon grał coraz ciszej, dźwięki zamierały z wolna, głuchły i niby zakrzepłe perły opadały ciężko, że już tylko jakieś błędne akordy jak pogubione westchnienia błąkały się w ciszy, powracały jednak i łkały upornie, przejmująco.

Po długiej chwili martwego milczenia zerwały się znowu niby krzyk na pustkowiu, krzyk nagły, przeszywający, okropny!...

I znowu opadała grobowa cisza, z której kiedy niekiedy wyrywały się błędne, rozełkane, samotne akordy...

Modlitwa umilkła, ale ten głos monotonny zrywał się co chwila, przycichał... konał... i znowu powracał... znowu jęczał... znowu błąkał się, dreszcz zatrząsł wszystkimi, bo był jak rozpacz, jak krzyk padających w przepaść...

Joe nie mógł już wytrzymać i rozniecił światło.

Zenon siedział martwo, oczy miał przymknięte, głowę pochyloną na poręcz krzesła, prawa ręka leżała bez ruchu na kolanie, a lewą poruszał machinalnie, uderzając raz po raz w klawisze...

– Wpadł w trans! – szepnął, przygaszając znowu światła.

W pokoju zrobiło się wprost strasznie, siedzieli w grobowym milczeniu, skurczeni w bolesnym nabrzmieniu trwogi i oczekiwania, błądząc oczami w ciemnościach i czepiając się tego jedynego światełka jak zbawienia.

Chłód dziwny zawiewał od ścian, że mimo rozgorączkowania trzęśli się z zimna.

Cisza była już nie do wytrzymania, a ten powracający wciąż, monotonny akord przejmował coraz sroższą męką...

Naraz w ciemnościach zaczęło się coś stawać.

Najpierw szyfrowe tabliczki, leżące na stole, jęły się podnosić i opadać jakby podrzucane, wreszcie trzasnęły w sufit i rozbitymi kawałkami posypały się na podłogę...

A po chwili zaczęły się rozsypywać w ciemnościach świetliste, niezliczone drgania, ale tak nikłe, tak drobinowe, że wydawały się próchnicową fosforescencją, opadały połyskującą rosą, osypywały się po ścianach, gęstniały z wolna i świeciły coraz mocniej, zalewając pokój błyszczącym, rozdrganym tumanem, jakby śniegiem błękitnawym, opadającym bez szelestu sypką i pierzastą falą.

– Om! – zadźwięczał w ciszy jasny, kryształowy głos.

I pochylili głowy, i chórem z trwożną pokorą i wzruszeniem, stłumionymi głosami zajęczeli błagalnie:

– Om! Om! Om!

Świetlista ulewa jeszcze się wzmogła, już teraz pokój był podobny do ciemnobłękitnej otchłani, przez którą przepływał potok gwiezdnych pyłów tak jaśniejący, iż ściany, drzwi, obrazy, sprzęty i sine, wylękłe twarze widać było dokładnie poprzez to rozdrgane, opadające bezustannie przędziwo błysków.

Mgławy zarys postaci, świetlany majak, widmo utkane ze światła, ukazało się naraz w drzwiach pokoju uśpionej.

– Om! Om! – szeptali coraz ciszej, cofając się pod ścianę i przyparci do niej, zmartwieli w świętej zgrozie zdumienia.

Zjawa jakby kwiatem z rozchwianych płomieni uniosła się w górę, była jakby wytryskiem rozproszonego światła, z którego co chwila urabiał się zarys ludzkiej postaci i rozpryskiwał wybuchem krótkich, rozpylonych błysków.

Ulewa zgasła, pokój pociemniał, tylko zjawa błyszczącym ostro żółtawym obłokiem unosiła się z wolna, krążyła na parę stóp nad ziemią, stając się chwilami tak wyraźną w ludzkim kształcie, że widać było twarz kobiecą, okoloną długimi włosami, zarysy ramion i kontur całej postaci, a przez mgnienia i jakaś niebieskawa, mieniąca się płomieniami suknia widniała, ale niepodobna było dojrzeć rysów, bo to chwilowe skupienie światła, ten brzask rażący, z jakiego się urabiała, te połyskliwe, martwe drgania mieszały się ustawicznie, przelewały wirem bezustannym, że co mgnienie kontury się rozwalały w pył świetlisty i występowały na nowo.

Przez jakąś dłuższą chwilę widmo stało się zupełnym kształtem ludzkim, przysuwając się tak blisko, że obłędny strach runął w nich piorunem, chwiało się tuż przed nimi, zbliżając swoją twarz okropną; twarz ślepą, bez rysów, jakby kulę, z gruba obrąbaną i przedziurawioną czarnymi otworami, larwę podobną do kłęba

mgławiących się drobin świetlistych, larwę dręczącego snu i przerażenia.

Sunęła od jednego do drugiego, zaglądając pustymi oczodołami w ich zamarłe i ostygłe ze strachu oczy, i jakieś ręce śliskie, wilgotnawe, jakby z nagrzanego kauczuku, ręce okropne i trupie, ręce zgrozy niewypowiedzianej dotykały się wszystkich twarzy.

Ktoś jęknął ciężko, jakby przez sen dręczący, i widmo rozprysnęło się w tej chwili w migotliwy, świecący tuman.

Ale nim ochłonęli, zjawiło się znowu w niszy przy Zenonie.

– Daisy! – krzyknął bezwiednie Joe.

Wszyscy ją również poznali; tak, ona tam stała, widać było dokładnie, każdy rys twarzy występował ostro w tej dziwnej jaśni promieniejącej z niej samej, każdy szczegół postaci, nawet kolor włosów tak dobrze im znany. Byli najgłębiej przekonani, że to ona sama stoi w tym łagodnym brzasku promieniowań, jakby w jasnym obłoku.

Pochyliła się nad śpiącym, jakby mu coś chciała szepnąć do ucha, a on podniósł się i z niewysłowionym uśmiechem podał jej rękę i naraz, niby drzewo rozłupane przez piorun, rozpadł się na dwie osoby... siedział w dawnej postawie z głową pochyloną na poręcz krzesła i stał równocześnie w drugiej osobie przed nią pochylony...

Krzyk zdumienia wyrwał się ze wszystkich ust i padł zmartwiały, bo oto drzwi od pokoju okrągłego rozwarły się i ujrzano Daisy leżącą na sofie.

Dwa ciała leżały w śnie głębokim, równocześnie dwie zjawy, dwa widma czy dwie dusze przyobleczone w kształt widomy i płomieniejący światłem, dwa jakby zwierciadlane odbicia Daisy i Zenona przesuwały się w ciemnościach tuż przed nimi...

Jak to długo trwało? Mgnienie czy wieki, nikt nie wiedział, nikt nie myślał i nikt nie pojmował.

W podziw padły dusze i klęczały w świętej grozie cudu...

W tej przeświętej chwili łaski Izys odsłoniła rąbek zasłony przed łaknącymi światła, marzenia stawały się czymś więcej niźli rzeczywistością, bo cudem niezrozumiałym, tajemniczym, niezgłębionym, ale cudem, żywymi oczami widzianym.

Poczuli się zawieszeni na krawędzi niepoznawalnego, jakby w samych głębiach stawań się i jakichś bytów nawet niemyślanych i rzeczy zgoła niepojętych dla ślepych oczu człowieczych.

Przepadła wszystka pamięć żywota, wszystek pył ziemski opadł z ich dusz, wszystka myśl spłonęła, że pozostali jeno jakoby w samym rdzeniu istności, przed którą odsłaniają się tajemnice wszelkie, boć oto tam, o parę kroków, w ciemnościach drążyły się dwie jaśniejące postacie i trwał cud niepojęty... Cienie rysowały kontury, tworzyły ramę, z której tym wyraźniej promieniały zjawy świetlane, niby słupy martwych połysków, przenoszące się z miejsca na miejsce bez szelestu i w takim milczeniu, że słyszeli przyśpieszone bicie serc własnych.

Z wolna, w jakiejś niepochwytnej, niezapamiętanej chwili widma poczęły blednąć, przygasać, niewidzialnieć i wsączać się w ciemności, tylko głowy pozostały nieco dłużej, chwiejąc się jak kwiaty świetlane na falach cieniów, były wciąż przy sobie, poruszając się jakimś wahającym, rozdrganym ruchem, znikały na mgnienia w rozpryskach oślepiających blasków i wynurzały się jeszcze, ale już bledsze, niklejsze, wiotsze, podobne do witrażowych postaci w mrocznych nawach, jeszcze oczy jaśniały dawną mocą i życiem, a już rysy się rozpadały, już marł kształt ludzki, aż i spojrzenia przygasły zmącone, jakby z nagła zanurzone w mrokach, i przepadły, rozsypały się w pyłach białawych, z wolna gasnących.

Skończyło się wszystko, noc ich znowu otoczyła i milczenie, nikt się jednak nie poruszył z miejsca, omdlałe serca ledwie biły, myśli dźwigały się leniwie i niechętnie, podnosiły się jakby z letargu zachwyceń i oczarowań.

Ach, znowu życie, znowu głupia rzeczywistość, znowu ten sam dzień powszedni, dzień męki nieskończonej i tęsknot – znowu!...

Głuchy, daleki szum miasta bił monotonnym szmerem w okna, deszcz brzęczał po szybach, a światełko, uwięzione w kryształowej kuli, trzepotało się zielonawą, tajemniczą źrenicą, jak niezgłębiona tęsknota, jak pamięć rzeczy minionych i niepowrotnych...

Dopiero po długiej chwili Joe się przemógł i rozniecił światła.

Drzwi do okrągłego pokoju były zamknięte. Zenon zaś siedział uśpiony na dawnym miejscu, przed fisharmonią.

– Trzeba go zbudzić, wyczerpie się.

Ale nim to uczyniono, sam się przebudził i powstał.

– Zdaje mi się, że spałem? – szepnął, przecierając oczy.

– Zaraz usnąłeś.

– Nie – grałem przecież coś, zdaje mi się, Bacha...

– Grałeś także i później...

– Przez sen?...

– Byłeś w transie.

– I grałem! Prawda, przypomina mi się jakaś melodia... zaraz... nie mogę jej schwycić... jakieś rozproszone dźwięki mam w pamięci, ale to dziwne, nigdy nie wpadałem w sen podobny...

– Czy nic więcej sobie nie przypominasz prócz tej melodii?...

– Nie... a Daisy?

– Śpi jeszcze.

Zenon otworzył drzwi do okrągłego pokoju i stanął zdumiony.

– Ależ to ona... nie spałem przecież, cóż we mnie wmawiacie, przed chwilą mówiłem z nią... chodziliśmy razem po jakimś parku... tak... pamiętam... drzewa błękitne... mówiła... zaraz... gdzie to było...

Obejrzał się naraz lękliwie.

Wszyscy stali dokoła, zapatrzeni w niego, ciekawi a milczący.

– Coś się ze mną stało, czego nie mogę sobie przypomnieć... tak mnie dziwnie boli głowa...

Zachwiał się, aż Joe ujął go wpół i posadził na krześle.

Długo siedział nieruchomie, zapatrzony w siebie, w jakąś nierozpoznaną dal, pełną widzeń majaczących i snów nieprzypomnianych, daremnie usiłując ułożyć choćby obraz jeden, jedną myśl bodaj wyłonić ze strzępów rozpierzchłych i wirujących pod czaszką; zapadał w coraz większy mrok niepamięci; reszta bladych, nikłych majaczeń porwała się, gdy ją chciał pochwycić, ostatnie brzaski przypomnień zgasły, została tylko pusta, bolesna tęsknota za tym, co przepadło w nieznanych głębiach, że jakby się przebudził na nowo, otworzył szeroko oczy, przyjrzał się wszystkim i powstał.

– Taki dziwnie jestem znużony i wyczerpany, że ledwie się trzymam na nogach... – skarżył się żałośnie.

– Idź, połóż się zaraz – szepnął mu Joe.

– Istotnie, to będzie najlepsze.

– Odprowadzę cię do mieszkania.

– Cóż znowu, nie usnę przecież na schodach.

Zaśmiał się wesoło i wyszedł do przedpokoju, ale gdy już miał wychodzić na korytarz, zawrócił i cicho pytał:

– Czy Daisy śpi jeszcze?

– Śpi, ale zaraz ją pójdę zbudzić.

– Seans się udał?

– Nadzwyczajnie, jutro ci opowiem szczegóły.

– Ale dlaczego ja usnąłem? nie daruję sobie tego...

Schodził po schodach wolno, automatycznie, prawie nie wiedząc o tym, dopiero na pierwszym piętrze przystanął, rozejrzał się uważnie i jakby po raz trzeci się przebudził...

Przypomniał sobie naraz, że był na seansie i że grał...

Zatrząsł się, zimno go przejęło na wskroś, czuł się niesłychanie zmęczony i dziwnie, boleśnie niespokojny; jakaś melodia wić mu się jęła w pamięci, że począł ją nucić z cicha...

Korytarz był szeroki, wysłany czerwonym dywanem, cichy i pusty zupełnie, a jasno oświetlony, bo szereg opałowych kwiatów, uczepionych u sufitu, rozsiewał elektryczne światło, ściany białe, poprzecinane gdzieniegdzie drzwiami, ciągnęły się długą, jednostajną linią, pełną nudy.

Jakiś zegar wydzwaniał wolno.

– Już siódma! Całe dwie godziny seansu – szepnął zdziwiony, podnosząc oczy, by sprawdzić na zegarze, ale ujrzawszy jakąś damę idącą z drugiego końca korytarza, poszedł śpieszniej naprzeciw i naraz, nie dochodząc jej jeszcze, przystanął skamieniały.

– Daisy? – krzyknął, odsuwając się pod ścianę.

Miss Daisy przeszła, witając go skinieniem głowy, jak zwykle uprzejmym i nieco wyniosłym, mały groom szedł za nią z wielkim pudłem w ręku.

Stał chwilę z przymkniętymi oczami, pewny, że to przywidzenie lub halucynacja, bo i jakże, przed chwilą zostawił ją tam uśpioną w pokoju seansowym, widział na własne oczy, pamięta... a ona teraz tutaj, ubrana do wyjścia, idąca z przeciwnej strony...

Nie, to halucynacja.

Otworzył naraz oczy. Miss Daisy była już na końcu korytarza i skręcała właśnie na schody wejściowe...

Nadludzkim skokiem był już tam i wsparty o balustradę patrzył, jak schodziła na dół szerokimi schodami...

Schodziła wolno, tren sukni ciągnął się za nią po szerokich marmurowych stopniach, rezedowordzawy płaszcz, obramowany futrem, obtulał jej postać wyniosłą, jasne włosy wymykały się wzburzonymi falami spod wielkiego, czarnego kapelusza... widział te szczegóły dokładnie, słyszał każde jej stąpnięcie... czuł ruch jej każdy...

A na skręcie do przedsionka odwróciła głowę, oczy się ich skrzyżowały błyskawicami, zderzyły i rozbiegły, że cofnął się bezwiednie

w cień... ale słyszał jej głos... szczęk drzwi... kroki na posadzce przedsionka... głuchy tupot koni na asfalcie podjazdu... śliski szmer odjeżdżającego powozu...

– Kto tu wyjeżdżał? – zapytał po chwili odźwiernego.

– Miss Daisy!

Już nic nie odrzekł, bo mu się zdało naraz, że go ogarnęła ciężka, niezwalczona senność. Powrócił na pierwsze piętro i machinalnie odnalazł swoje mieszkanie; długo krążył po nim, roztrącając się o sprzęty i meble; długo błądził po omacku, nie wiedząc, co począć, co się z nim stało, gdzie jest!

Padł na jakieś krzesło i pozostał nieruchomy, zesztywniały z przerażenia, oto znowu ujrzał je obiedwie razem... tamtą, śpiącą na sofie, i tę schodzącą po schodach...

Jakimś ostatnim odruchem świadomości rozniecił światło i zadzwonił.

Weszła pokojówka.

– Czy miss Daisy już powróciła? – zapytał po długim milczeniu, przytomniejąc zupełnie.

– Miss dopiero przed chwilą wyjechała.

– Ale czy dawno wróciła przed wyjazdem?

– Nie wychodziła nigdzie, położyła się o zmroku i spała, obudziłam ją niedawno sama.

– Spała i nie wychodziła nigdzie... nigdzie?...

– Tak, z pewnością...

– Była na drugim piętrze u Mr Joe.

– Nie, zapewniam pana, że nie wychodziła.

– Nieprawda! – krzyknął w nagłej pasji.

– Ależ z pewnością... z pewnością... – szeptała zdumiona, cofając się przed jego błędnym wzrokiem i twarzą zmienioną.

– Muszę być chory i najwidoczniej mam gorączkę – powiedział głośno, oglądając się podejrzliwie po mieszkaniu – nie było jednak nikogo, służąca uciekła, wszystkie drzwi stały otwarte.

We wszystkich pokojach płonęły jasno światła, stały meble w surowych, ciężkich zarysach, błyszczały zwierciadła jak oczy promieniste i puste, kwiaty w wazonach barwiły się cicho, ciężkie portiery przysłaniały okna, a ze ścian ciemnych wyzierało kilka posępnych portretów.

Wszystko to znał, poznawał, pamiętał, czuł, że jest u siebie, w swoim mieszkaniu, a jednak... jednak... poprzez te sprzęty i ścia-

ny, zwierciadła i kwiaty wyzierały jakieś zarysy przypomnień; kontury mgliste jakichś innych rzeczy, rzeczy zgoła nieprzypomnianych, a istniejących gdzieś... rzeczy zmartwychwstających wiotkim cieniem i zjawą niechwytną...

– Nic nie rozumiem... nic! – wołał, chwytając się za głowę.

II

– Straszny dzień! – zawołał Zenon, wstrząsając się z zimna.

– Okropny, obrzydliwy, wstrętny dzień! – powtarzała z wesołą przekornością śliczna, jasnowłosa dziewczyna, wychodząc z nim spod kolosalnych kolumn portyku Św. Pawła na szerokie, mokre i oślizgłe schody.

– Po trzykroć obrzydliwy dzień, zimno, mokro i mglisto. Już prawie zapomniałem, jak świeci słońce i jak grzeje.

– Przesada i egzaltacja! jak mówi ciotka Ellen.

– Więc pani widziała słońce w tym roku w Londynie?

– Ależ dopiero luty.

– Czy pani w ogóle i kiedykolwiek widziała słońce w Anglii?

– Mr Zen, by ciotka Dolly nie rzekła: strzeż się, Betsy, bo ten człowiek czci słońce jak gwebr, poganinem być musi – groziła mu ze śmiechem, naśladując komiczny głos ciotki.

– Przecież od listopada nie było ani na mgnienie słońca w Londynie, nic, tylko mgły, deszcze, błoto i fogi, a ja nie mam skóry z „waterproofów", więc już chwilami czuję, iż się przemieniam w galaretę, w mglistość, w strugi wody.

– W pańskim kraju nie ma też ciągle słońca – szepnęła ciszej.

– Jest, miss Betsy, jest prawie codziennie, a teraz, w tym dniu, dzisiaj, świeci na pewno, świeci roziskrzone w śniegach, ogromne, jaśniejące, cudowne... – mówił, zniżając głos, wpatrzony w dal nagłych, oślepiających przypomnień.

– Tęsknota – powiedziała cichutko i jakoś dziwnie smutno...